

Dopiero w roku 1956, w ślad za innymi sferami życia społecznego, nasza niezłomna dyscyplina – w granicach możliwych do osiągnięcia – zerwała krępujący ją gorset obcego dyktatu. Odrodził się PZPN. Nigdy jednak nasz Związek nie zdołał odzyskać pełnej samodzielności i samorządności, takiej – jaką cieszył się w dwudziestolecu międzywojennym.

W piłkarstwie określiłem ten okres jako „**ni pies, ni wydra**”. De facto – aż do odzyskania pełnej suwerenności w roku 1989 – tak właśnie wyglądała cała nasza powojenna rzeczywistość. Rzeczpospolita dwa i pół. Ulga po okrucieństwach stalinizmu niewątpliwa, ale do pełnej suwerenności było jeszcze daleko i powiedzmy szczerze – wtedy inaczej być nie mogło. Klimat „polskiego października” przeżywaliśmy przecież w ramach wciąż opasającego nas monopartyjnego systemu totalitarnego. „Odwilż” – to tylko stan pośredni między chłodem i ciepłem. Nasz kraj nie ustawał więc w walce o swobody demokratyczne, ale pełnego ciepła nie doznał nawet w „dekadzie gierkowskiej”.

Dla piłkarstwa czas ten był jednak wyjątkowo udany. Posypały się medale olimpijskie i mistrzostw świata. W skali kraju zbiurokratyzowany system centralnego zarządzania i sterowania nie był w stanie osiągnąć poziomu futbolu. Była ta nasza piłka nożna jak owa topola samotnica na tle karczowanego lasu. Uchylone okno na świat przyspieszyło jednak odradzanie się tożsamości narodowej. Dojrzał protest społeczeństwa na miarę dotychczas niespotykaną. Dość już miało we własnym domu ograniczonej wolności, a na zewnątrz „opiekuńczych” skrzydeł „brata ze Wschodu”. Realny socjalizm stawał się niewydolny. Potęgowała się nieefektywność gospodarki i niska wydajność pracy. Przejawy stagnacji dotknęły również cały polski sport. Piłkarstwo żyło już tylko medalowymi wspomnieniami i nieudanymi próbami obcinania kuponów ze zdobytej sławy.

Narzucony dyktat nie był w stanie zapewnić potrzeb i swobód obywatelskich. Zrywy społeczne powtarzały się niemalże z dokładnością szwajcarskiego

zegarka. Reżim długo się bronił, ale był bezradny wobec wielomilionowego ruchu społecznego „SOLIDARNOŚĆ”. Nastąpiły rewolucyjne zmiany ustrojowe. To już nie była kosmetyka, stopniowe łagodzenie dokuczliwego systemu nakazowo-rozdzielczego, lecz całkowite z nim zerwanie. Rewolucja „powszechnej nadziei 1989” zwyciężyła akurat wtedy, kiedy świat kapitalistyczny – tak przynajmniej uważają naukowcy – już był zdominowany przez ideologię neoliberalizmu. Siłą rzeczy program naszej transformacji ustrojowej oparto na tym systemie wartości. Byliśmy wreszcie we własnym domu...

Wraz z wolnym rynkiem, zdaniem liberałów regulatorem całej gospodarki, przyszły zagrożenia, którym sport, w tym także piłka nożna – dość długo nie potrafiły się przeciwstawić. Rosło rozwarstwienie społeczeństwa i bezrobocie w skali makro. W skali mikro, tej naszej, piłkarskiej – z jednej strony zaczęły dominować kluby, które na ligowe szczyty wyniosły właśnie dokonane przemiany, zaś z drugiej – ujawniła się przykra w odbiorze społecznym – niemoc nieprzystosowanych do nowej rzeczywistości. Nastąpiło groźne tąpnięcie. Pozakręcane kurki z dotacjami wielkich zakładów pracy, notabene na prędcy prywatyzowanych, najdotkliwiej odczuli ligowcy ze Śląska, niegdyś pupila sfer rządowych i resortowych. W tej sytuacji wyprzedaż graczy do bogatszych klubów, w tym do lig zagranicznych, była często jedynym ratunkiem na przetrwanie lub w miarę stabilną egzystencję. Niepomrotnie wzrosła liczba przeróżnych „cwaniaczków” i menedżerów od siedmiu boleści. Zerowali na podupadającym futbolu. Obniżył się poziom krajowych rozgrywek, kulała reprezentacja.

Namnożyły się, ni stąd ni zowąd dziesiątki mesjaszy, niby – zbawców futbolu, zaczęli nowobogackim i zawodnikom mieszać w głowach i obiecywać złote góry, furę pieniędzy i same zwycięstwa. Wielu działaczom, trenerom i sędziom, także zawodnikom bardzo się to spodobało. Każdy na swój sposób

chciał uczestniczyć we współczesnej „gorączce złota”. Łatwo dostępnym źródłem nabijania kabzy stał się handel „żywym towarem”. Zaczęła się przy tym szerzyć korupcja. Zderzenie z nową rzeczywistością na swój sposób starali się wykorzystać głównie spryciarze zahartowani w przestępczych praktykach w obalonym ustroju. Piłkarze nie byli tak obrotni. Znacznej części mniej odpornym i mniej utalentowanym nie powiodło się zagranicą i trzeba było przypiąć im etykietkę „odrzuć z eksportu”. Exodus czołowych piłkarzy jednak nie ustawał. To wyjaławiało naszą ligę i zmniejszało wspólnotę interesów potencjalnych reprezentantów. Pieniądz niektórym z nich poprzewracał w głowach. Ci bardziej syci, gdy zjawiali się w kraju na zgrupowaniu kadry, dość ochotnie wykorzystywali pobyt w kraju na ziemskie rozkosze. Wygłaszali bałamutne opinie, że są prawdziwymi profesjonalistami, a zachowywali się jak prymitywni dyletanci. To też miało wpływ na słabe wyniki naszej kadry przez ponad dziesięć lat. Krajowi ligowcy, marzący o lepszych zarobkach na obczyźnie, też gonili w piętke.

W połowie lat dziewięćdziesiątych tylko Legia i Widzew przebiły się do Ligi Mistrzów. Wojskowi zagrali nawet w ćwierćfinale, ale był to ich łabędzi śpiew. Łodzianom odprawiono nawet mszę żałobną. Zmierzch bogów rodzimego chowu. Kilka lat później Wisła, uchodząca w naszej ekstraklasie za krezusa, już czterokrotnie bezskutecznie puka do ligi europejskich czempionów. Z konieczności kierowaliśmy swoje uczucia ku tym klubom zagranicznym, w których grali Polacy, głównie Jerzy Dudek i Jacek Krzynówek. Dobry czas reprezentacji skończył się już w latach osiemdziesiątych, a więc jeszcze przed społeczno-polityczną transformacją. Kolejne przedmundialowe eliminacje Polska wygrała dopiero na początku XXI wieku. W rozgrywkach ligowych jednak coraz mocniej pachniało antyfutbolem. Sądzę, że były to koszty nie tylko społecznej transformacji, głównie sportowej nieudolności.

Piłka nożna we współczesnym świecie jest niewątpliwie biznesem jak każdy inny. Prawda ta implikuje kolejną: do interesów trzeba mieć odpowiednią głowę. Kłopot nielada. W tej właśnie kwestii na łamach „Tygodnika Powszechnego” taką oto opinię wyraził były premier Jan Krzysztof Bielecki, obecnie prezes zarządu PKO S.A.:

...„Pamiętam jak parę lat temu na prośbę PZPN spotkałem się z działaczami klubowymi, którym tłumaczyłem, że ich drużyny powinny mieć budżet. Wywołało to duże zdziwienie... Rynek musi wymóc unormowanie klubu jako jednostki budżetowej... Mam nadzieję, że unormuje również relacje z zawodnikami. Nasi piłkarze nie przychodzą do klubu jak do pracy, żeby w nim spędzać – tak jak to bywa w Anglii – cały dzień... PRL dawał poczucie równości. Gdy przyszedł rynek, okazało się, że zostały trzy – cztery liczące się kluby, bo nikt tam nie wygra wyborów, gdy powie, że zamierza zmniejszyć ligę i dopuścić do niej jedynie kluby spełniające kryteria – dobre zarządzanie, przejrzyste finansowo, z przyzwoitym bezpiecznym stadionem”.

Dziś futbol jest biznesem wszędzie, a pieniądź nie śmierdzi, ani na Zachodzie, ani na Wschodzie. Głównie dlatego, niekiedy dla kaprysu, bywa, że i z autentycznej sympatii, ale najczęściej z myślą o pomnożeniu kapitału, garną się doń ludzie, którym już wcześniej się powiodło. Jakim cudem? Z ustaleniem konkretnych źródeł bogacenia się mają kłopoty nawet sejmowe komisje śledcze. Do niedawna sugerowano, że aby w miarę szybko stać się finansowym rekinem, trzeba najpierw ukraść pierwszy milion dolarów. Teraz mówi się, że równie dużą fortunę są w stanie zapewnić dobrze zorganizowane mechanizmy korupcyjne.

W piłkarstwie takich możliwości za wiele nie ma, w każdym razie dość długo nie było. Weszło do tej gry kilku byłych „cinkciarzy”, badyłarzy i drobnych hochsztaplerów, ale ci najbogatsi, co w miarę uczciwie dorobili się fortuny, nie-

chętnie wspierają ten nieczyny proceder. Niełatwo przeto ustalić, co akurat w futbolu jest najbardziej naganne. Czy tylko pogoń za kasą? A może źle pojęta ambicja, złudne marzenia o sławie, reklamie i chęć królowania na piłkarskich salonach? Słysząc też o próbach „prania brudnych pieniędzy”. Wzorów do naśladowania takich postaw jest dziś wyjątkowo dużo, a i chętnych do łatwego zarobku coraz więcej. Nawet urzędnicy państwowi i politycy wyciągają ręce po łapówki. Mogą oni, to mogą też inni, w tym osoby związane z futbolem.

Niektórzy ekonomiści twierdzą, że gdy władza należy do bogaczy, to skłonności do przekupstwa są niewielkie, ponieważ bogactwo nie korumpuje. Dopiero gdy do głosu dochodzą biedacy, zaczyna się plenić łapówkarstwo. Ubóstwo generuje ludzi amoralnych. Wówczas w miejsce praw rynku wkrada się przestępstwo, w rezultacie górę biorą indywidua pozbawione jakichkolwiek hamulców społecznie nagannych. Zapewne nieprawości z większym nasileniem występują u jednostek z pustą kieszenią, ale nie jest prawdą, że tylko biedacy są nieuczciwi, sprzedajni i zboczeni moralnie. W sytuacjach zależnych od praw rynku de facto w każdej grupie społecznej zaczyna przeważać chłodny praktycyzm. Moralność dość powszechnie jest spychana na dalszy plan.

To plama również na honorze wielu sportowych funkcjonariuszy. Zwłaszcza w piłkarstwie jest sporo osób nieuczciwych i pazernych na pieniądze. Wykorzystują nieporadność dopiero raczkującego u nas prawdziwego profesjonalizmu i tą właśnie niemoralną drogą chcą dorobić się majątku. Dostarczają w ten sposób ludziom nieprzychylnym sportowi argumentów o jego rzekomo niskiej randze społecznej. Jerzy Urban na przykład w swoim drapieżnym „Alfabcie” sięga rynsztoka, gdy pisze: ... „zostać działaczem sportowym czyli wykonywać prace mniej inteligentne, niż zajęcie złodzieja i sutenera”.

Obrzydliwe porównanie, ale gdy ma się w pamięci altruistyczne postawy pionierów polskiego piłkarstwa (też w czasach rozwijającego się kapitalizmu)

i w jakimś stopniu własne doświadczenia z czasów amatorskiego futbolu, to trudno pogodzić się z tym, że dziś tę naszą piękną dyscyplinę babrają w błocie spryciarze, dorobkiewiczze i zwykli oszuści. Stawiane diagnozy też są prostackie. Powiela się nośne społecznie opinie, że wystarczy zmienić kierownictwo PZPN, a nasz futbol znowu stanie się oazą czystości. Nigdy taki nie był. A czy będzie? W krajach o ugruntowanej demokracji, gdzie futbol zawodowy ma bardzo silną pozycję, też zdarzają się przekręty, przekupstwa, korupcje. Bardziej cieszy zysk na piłkarskim rynku, niż radość ze zwycięstwa. Były as Realu Madryt, a dziś Interu Mediolan – Luis Figo mówi z rozbrajającą szczerością: – *W Realu najważniejszą rzeczą nie jest wygrywanie, ale promowanie marki i zdobywanie dla niej nowych rynków.*

U nas także kluby piłkarskie i ich otoczenie coraz wyraźniej zaczynają tracić swoje tradycyjne funkcje sportowo-szkoleniowe i widowiskowe. Stają się instytucjami o profilu handlowym, komercyjnym, w których pozycję działaczy, trenerów i zawodników określa się nie na podstawie ich faktycznej wiedzy i sportowych umiejętności, lecz – często zupełnie bez logicznego uzasadnienia – ceny rynkowej i to głównie w obcej walucie. Sędziowie dość długo nie mieścili się w tej formule. Zadowalali się drobnymi upominkami, wystawnymi przyjęciami i towarzystwem wesołych pańienek. Teraz i oni poznają swoją wartość rynkową. To chyba dlatego ich skłonności do przyjmowania łapówek stają się coraz powszechniejsze. Najwyżej cenią się ligowcy, natomiast sędziowie z niższych klas gotowi są sprzedać swój honor i uczciwość nawet za flaszkę wódki.

Powie ktoś, że tak być musi, bo są to kanony sportowej współczesności i zgani mnie, że staram się odwrócić bieg historii. Taki naiwny to ja nie jestem. Chciałbym tylko, żeby między sportową a gospodarczą funkcją w klubach były zachowane właściwe proporcje. Sport jest wartością nieco inną, niż

fabryka, bank lub kantor wymiany walut. Skupienie się w piłkarstwie wyłącznie na relacji kupno-sprzedaż i zysk nadzwyczajny jest szkodliwe tak ze względów moralnych jak i szkoleniowych. Przecież tych przyszłych piłkarzy ktoś musi od dziecka uczyć grać i sportowo doskonalić. To wymaga pracy od podstaw. My, niestety – coraz częściej o tym zapominamy. Wysychają więc naturalne źródła, bo nie mamy ochoty na racjonalne szkolenie. A potem dziwimy się, że giną talenty. Najpierw trzeba je wyłowić, dobrze poznać i właściwie rozwijać.

Eskalacja przeróżnych przypadłości w życiu społeczeństwa, a więc także sportowych, jest niewątpliwie procesem historycznym i nasila się wraz ze wzrostem globalnej liberalizacji. Jesteśmy w nurcie tych wydarzeń, przy czym jeszcze nie za bardzo potrafimy w tych warunkach funkcjonować. W tej sytuacji łatwiej o potknięcia i nieudane próby gonienia „utraconego czasu”. Generują te błędy nie tylko ludzkie słabości, lecz także niedoskonałe struktury wewnętrzne centrali i klubów, dwuznaczność regulaminów i przepisów w PZPN, niekiedy jawne ich lekceważenie i pomijanie, a także nadmiernie pojęty liberalizm i „miłosierdzie” wobec niekompetentnych bądź opieszających w działaniu. To potęguje klubowy egoizm. Nie są też wolne od tych ułomności związki wojewódzkie i okręgowe. Tam wciąż stanowczo za wolno następują niezbędne zmiany jakościowe. Przeważa kurs na przeciętność.

Część mediów, głównie tych zahartowanych w wyszukiwaniu skandali, obecny stan naszego piłkarstwa uważa wręcz za biblijną mannę z nieba. Jakże o tym łatwo dziś się pisze?! Jakże łatwo kogoś zgnoić, często bez żadnych podstaw odsądzić od czci i wiary?! A gdy to wszystko okaże się kłamstwem, zwykłym „szukaniem tematu”, za napaść i obrazę ofiary nawet nie przeprosić. Grunt, że nakład idzie w górę, bo dziś ludzie kupią każde świństwo. Produkując te „rewelacje” zapomina się lub w ogóle o tym nie wie, że piszącego nikt i nic nie zwalnia

z wierności wobec norm uważanych za obowiązujące wśród gatunku homo sapiens. Tymczasem...

Charles Louis Monteskiusz dość jednoznacznie określił kompetencje władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Nie przypuszczał, że na progu XXI wieku przed tę triadę coraz natarczywiej zaczną się wysuwać „czwarta władza”: prasa, radio i telewizja. Praktykom tym z lubością hołdują również mass media sportowe. Zwłaszcza ludzie piłki nożnej najczęściej wysłuchują i czytają o sobie, że są nieudacznikami, ignorantami, oszustami i że nawet kibic spod „legijnej żyłety” byłby od nich lepszy. To zachęca do działań ekstremalnych. Nie jest tajemnicą, że takie zasady prezentacji dziennikarskiej twórczości narzucają wydawcy, a pracownicy redakcji chętnie na to przystają. Bo to dopiero jest prawdziwa wolność prasy! Hańba. „Czwarta władza” najczęściej śpiewa tak, jak jej zagraniczni właściciele pism zagrają.

Coraz wyraźniej górę bierze świat zatracanych wartości moralnych i opacznie pojmowanej odpowiedzialności. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to stan chorobliwy. Dbłość o „wygodne życie”, niekiedy tylko o stałą pracę, bo etatów się unika, zabieganie choćby o ryczałt lub dobrze wyceńcioną „wierszówkę”, sporo ludzi zatrudnionych w redakcjach widać zmusza do schlebiania interesom, gustom wydawców i ich nie zawsze czystym intencjom. Urąga to zdrowej tradycji i boli ludzi wychowanych w szacunku dla piłkarstwa i polskiej prasy sportowej. Alternatywy nie ma, bo niemal wszystkie media skoncentrowane są w jednych (i to obcych) rękach. Polemiki brak. Obrona przed często zmyślonymi zarzutami jest trudna, bo niektóre media dysponują nie tylko orężem publicznego rażenia, ale korzystają również z przecieków, „kwitów”, płatnych donosicieli. Z reguły im bardziej się wierzy, niż osobom w gruncie rzeczy nie mającym nic wspólnego z nagłaśnianymi oskarżeniami. To też znak czasu. Najdrobniejszy skandalik

lepiej się przecież sprzedaje, niż nudną informację o życiu w spokoju i normalności. Nasze piłkarstwo, niestety – sensatom dostarcza sporo okazji do zyskiwania poklasku.

Przekręty w ligach różnych szczebli nie są jednak ani polskim wymysłem, ani też zjawiskiem dopiero dziś tak wyraźnie rzucającym się w oczy. Zna tę przypadłość od dawna cały świat piłkarski. W naszym kraju próby manipulowania rozgrywkami podejmowano już w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia. Nawet starania światłych działaczy o utworzenie ligi toczyły się w atmosferze skandalu. W bitwie tej padła Cracovia, jeden sezon była poza ekstraklasą. W roku 1929 Garbarnia Kraków była pierwsza w tabeli, ale przy „zielonym stoliku” tytuł przyznano Warcie Poznań, w tamtych czasach „pierwszej damie piłkarskiej Wielkopolski”. W lidze przegrała z „Turystami” Łódź, ale szarmanccy działacze z PZPN dopatrzyli się jakichś nieścisłości, zabrali łodzianom punkty i uszczęśliwili nimi właśnie Wartę. To dało jej mistrzostwo. A biednych „Turystów” zepchnięto do A klasy.

Trzy lata później przydarzył się nieco większy skandalik. W barwach „Czarnych” Lwów dość długo grał nieuprawniony zawodnik. Kluby o tym nie wiedziały, dopiero w dociekliwym PZPN odkryto ten drobny szwindel i tak narodziła się głośna w owych czasach „afery Żurkowskiego”. Pospały się walkowery, a to spowodowało zmiany w tabeli. Najbardziej skorzystała na tym Cracovia. Wyprzedziła w tabeli Pogoń Lwów i zdobyła mistrzostwo Polski.

Nowością w naszej lidze nie jest też łapówkarstwo, przekupstwo, korupcja. W Katowicach już w latach trzydziestych działał klub sportowy „Dąb”, który miał ambicje większe niż możliwości. Groził mu spadek z I ligi. Zabiegał więc o pomoc sąsiada zza miedzy, również I-ligowca „Śląsk” Świętochłowice, który już nie miał szans na obronę ekstraklasy. Właśnie „Śląsk” i „Dąb” wplątały się

w szalbierstwo, które bezkarnie ujść nie mogło. W Świętochłowicach postanowiono, oczywiście za odpowiednie „wynagrodzenie”, ratować sąsiada. Przesłstwo wykryto. „Śląsk” sprzedający punkty w trybie normalnym spadł do A klasy, a kupujący „Dąb” został karnie wyrzucony z ligi.

Po wojnie działań nagannych było znacznie więcej. Często maczali w tym palce przedstawiciele ówczesnej władzy. Kształt ligi kreślono nie tylko według sportowych zasług klubów, lecz także potrzeb i ambicji lokalnych baronów. W ten sposób na przykład w roku 1948 trafiły do ekstraklasy KKS Poznań (dzisiejszy Lech) i RTS Widzew. Jedni i drudzy przepadli w burzliwych eliminacjach, szukali więc sojuszników i... znaleźli w Rzeszowie. Delegaci tego okręgu zgłosili na Walnym Zgromadzeniu PZPN wniosek o powiększenie ligi do 14 drużyn. Przychylny los padł właśnie na KKS i RTS. O ile jednak poznaniacy tę uprzejmość Rzeszowa uwiarygodnili dobrą grą na boisku, o tyle łodzianie zajęli ostatnie miejsce w tabeli i na długie lata pożegnali się z ligą.

Kolejny pasztet wysmażyły ówczesne tuzy fizyki w 1951 roku. Bezapelacyjnym liderem I ligi była Gwardia (Wisła) Kraków, jej przewaga nad Unią (Ruchem) osiągnęła 8 punktów, ale mistrzem Polski zostali właśnie chorzowianie. Przypadek? Regulamin rozgrywek tak sprytnie spreparowano, by wykazać wyższość Pucharu Polski, imprezy „tysiąca drużyn” nad elitarną Klasą Państwową, wciąż w kręgach proletariackiej władzy uważaną za przeżytek burżuazyjny. W finale na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie kibicowałem Wiśle i jej trenerowi Michałowi Matyasowi, ale skuteczniejszy Ruch wygrał 2:0. Był to początek wielkiej kariery wtedy niespełna 19-letniego bramkarza Edwarda Szymkowiaka. Człowiek „wańka – wstańka”, fruwał między słupkami. Ryszard Koncewicz już rok później powołał Edka do reprezentacji. Jak syna hołubił aż do połowy lat sześćdziesiątych.

NIEDZIELE I ŚRODY... CUDÓW

Właśnie wtedy tak na dobre zadomowiło się w naszej lidze pojęcie „niedziela cudów”. „Dziwne” mecze zdarzały się już wcześniej, choćby wtedy, kiedy Legia przegrała na własnym boisku z Pogonią Szczecin 0:4, a dwa lata później bez walki oddała punkty ŁKS-owi. Jednak dopiero w roku 1968 (ja chyba jako pierwszy w tamtych realiach miałem odwagę o tym napisać) tak bezczelnie zaczęły funkcjonować lokalne i zrzeszeniowe układy. Po mistrzowsku wykorzystywano te możliwości przede wszystkim na Śląsku. Nagannych czynów było oczywiście więcej, gdzie się tylko dało, tam manipulowano ligą i... Pucharem Polski. Nie wszystkie te „zabiegi” należało by postrzegać w kategoriach przekupstwa, łapówkarstwa i jawnej korupcji, ale wszystkie z nich – bez względu na skalę przestępstwa – wypaczyły sens rozgrywek i były zaprzeczeniem sportowej rywalizacji.

Apogeum tej nieczystej gry ligowcy osiągnęli wkrótce po mistrzostwach świata w Republice Federalnej Niemiec. Zdobyty tam medal i w związku z tym niezłe – jak na tamte czasy – korzyści finansowe zapewne zwiększyły dążenie piłkarzy do lepszego bytu. Medalowcy zasmakowali w pomnażaniu kapitału, a ligowy plebs różnymi sposobami usiłował zbliżyć się do pozycji reprezentantów. Już w roku 1975 obok dobrze już znanej piłkarskiej „**niedzieli cudów**” pojawiło się nowe pojęcie „**środy cudów**”... Zanim więc w roku 2005 w jedną ohydłą całość skumulowały się wszystkie złe skłonności ludzi futbolu: pazerność, żądza pieniądza, wola funkcjonowania w lidze wyłącznie z motywów finansowych i inne działania moralnie naganne, właśnie sezon 1974/1975 był niewątpliwie jednym z najczarniejszych w historii naszej ekstraklasy.

Machlojki powtarzały się niemal z taką samą dokładnością jak nieudane próby reformowania rozgrywek. Najczęściej jednak te ligowe matactwa

perfidnie przemilczano. Ton krytyki ograniczał się do eufemizmów, takich jak „drobne schorzenia” lub „skaza na zdrowym w swej masie polskim piłkarstwie”. Niby dostrzegano jakieś nieprawidłowości, ale woli wskazania winnych i choćby próby ich ukarania, nie było. Pobłażliwość futbolowych oportunistów i ich różnej maści protektorów zachęcała do przekrętów coraz szersze kręgi ligowców. „Dobrosąsiedzkie stosunki” wykroczyły daleko poza Śląsk. W Warszawie głośno mówiło się o „spółdzielni 9 klubów” będących pod parasolem ochronnym CRZZ. Wciąż główne role odgrywała w tym towarzystwie nomenklatura węgla i stali, a chętnie się do nich przyłączała brać z branży włókienniczej.

W tygodniku „Piłka Nożna” zamieściliśmy wówczas serie artykułów pod obiecującym nadtytułem „DIALOG Z KLUBEM”. W znacznym stopniu była to kopia cyklu „KLUB 1963” blisko 15 lat wcześniej opublikowanego w „Przeglądzie Sportowym”. Co się w tym czasie zmieniło? Wtedy i teraz nie było wątpliwości, że klub jest podstawowym ogniwem w ruchu sportowym. Zmieniały się jednak jego funkcje. Początkowo klub był – jak głosiła ówczesna propaganda – głównie kuźnią wychowania obywatelskiego poprzez sport. Jednak w miarę upływu czasu stawał się ośrodkiem coraz bardziej akcentującym przeróżne funkcje organizacyjne. W pojęciu „organizacja” – wykazał to właśnie „dialog z klubami” – mieściła się również umiejętność załatwiania spraw nagannych społecznie, sprzecznych z ideą czystości w piłkarstwie, korzystnych dla jednostek lub grup działaczy. Naiwnością byłoby sądzić, że działo się to bez wiedzy „trzymających władzę”!

Ruch Chorzów jest piłkarską wizytówką Śląska, cieszy się też sporą sympatią w innych regionach Polski. W roku 1978 chorzowianom groził jednak spadek z ligi. Zachwiana została wtedy blisko sześćdziesięcioletnia tradycja tego klubu. Przyjaciół w biedzie wymaga pomocy. Zorganizowano więc koalicję, któ-

ra podjęła się próby ratowania Ruchu. Czy w grę wchodziła tu tylko sympatia? Uznanie za zasługi dla polskiego piłkarstwa? Tego nigdy do końca nie wyjaśniono. Gdy pojawiły się głosy, że to mogło być przekupstwo, oburzano się nie tylko w Chorzowie. To tylko bezinteresowna koleżeńska przysługa! Kto był tak miłośnierny? Widzew... Przegrał u siebie z Ruchem 2:4, przedłużając tym samym pobyt chorzowian w I lidze, a spychając w II-ligowy czyściec Zawiszę Bydgoszcz i najgroźniejszego dotychczas rywala w regionie – Górnika Zabrze. Słowo korupcja wtedy jeszcze nie chciało przejść przez gardło.

Zawisza Bydgoszcz był w naszej lidze swoistym bumerangiem. Często padał pod ciosami przeciwników, ale w miarę szybko się podnosił. W roku 1981, a były to czasy ostrej walki demokratycznej opozycji z epigonami „realnego socjalizmu”, znowu balansował na krawędzi przepaści. Nad Brdą wzorując się na przekupnych rywalach, wreszcie sięgnięto po kasę. Od lat była pustawa, zastanawiono się więc, kto ją napełnił. Za „koleżeńską przysługę” oferowano Widzewowi 150 tysięcy złotych. Pomógł Ruchowi, może i Zawiszy! „Przyjacielskie” rozmowy Adama Kensego (Zawisza) z Andrzejem Gręboszem (Widzew) wykrył jednak ktoś nieprzychylny bydgoskiemu klubowi i nagłośnił sprawę. W wojsku powinien być porządek, przeto za naruszenie tej zasady Kensego osadzono w areszcie. Tam przyznał się do winy, ale na zebraniu Wydziału Dyscypliny PZPN wszystko odwołał. Szukaj wiatru w polu! Komisji śledczych i etyki wtedy nie było. Kolejna próba przekupstwa puszczona płazem...

Widzew był w tamtych czasach potęgą w polskim piłkarstwie. Podejrzewano, że również rozprawdzającym w tych niecznych praktykach. Sugerowano nawet, iż ktoś z tego klubu jest członkiem „rady nadzorczej” tej tajemniczej „spółdzielni ligowej”. W środowisku krążyły przeróżne opinie, częściej zmyślane niż prawdziwe, w które – przyznaję to szczerze – początkowo też nie za bardzo wierzyłem. Najgłośniej rozprawiano o umowach w sprawie zmian barw klubowych

parafowanych pod stołem. To nie były domysły, bo już od dość dawna w naszej lidze funkcjonowały „lewe kasy”. Niektórzy dziennikarze wiedzieli o tym dużo więcej, niż pisali. Red. Michał Strzelecki z Łodzi przekonał mnie, że Legia za przejście Pawła Janasa z Widzewa na Łazienkowską zapłaciła 350 tysięcy złotych. Puściłem to mimo uszu, bo co to za pieniądź przy 21 milionach za „transfer” Darka Dziekanowskiego z Gwardii do Widzewa..

Rok później w środowisku zanotowano kolejną sensację. Znowu na tapecie był Widzew, ale podobno wystąpił w innej roli, nie „sprzedającego”, lecz „kupującego” mecz, a ściślej mówiąc „wspierającego” drużynę trzecią mogącą pomóc w potrzebie. Otóż przed meczem Śląsk – Wisła nawet wróble ćwierkały na płotach, że ktoś w Łodzi finansowo „mobilizował” krakowian do zwycięstwa we Wrocławiu mając nadzieję, że to utoruje Widzewowi drogę do mistrzostwa. Do redakcji „Piłki Nożnej” i do mnie osobiście docierały na ten temat różne głosy, czasem wzajemnie się wykluczające. Fakty jednak zdawały się potwierdzać nieczystą grę. Wisła choć nie była faworytem, oczywiście wygrała we Wrocławiu. Przytrafiło się jej to jak ślepej kurze ziarno, bo Śląsk był wówczas drużyną zdecydowanie lepszą, poza tym wystarczył mu remis, by sięgnąć po mistrzostwo. A jednak...

Tadeusz Pawłowski reprezentant Polski, jeden z najlepszych wtedy piłkarzy Śląska i czołowy łowca bramek nie wykorzystał rzutu karnego. Wypadek przy pracy czy celowy strzał na wiwat? Huczało po całym kraju. Nie ukrywano, że znowu sukces odniosła „spółdzielnia” skierowana głównie przeciwko drużynom wojskowym. Jeśli tak, to armijny Śląsk sam kopał dla siebie ligowy dołek? Był to czas stanu wojennego, wtedy wszystko było możliwe. Śledztwa jednak nie przeprowadzono, nikt nikogo „nie złapał za rękę”. Tak czy inaczej Widzew zasiadł na tronie, a Śląsk był tylko wicemistrzem Polski.

Łodzianie trzymali sztamę przede wszystkim z Górnikiem Zabrze. W roku 1985 zaowocowało to – dość szczegółowo opisałem ten układ w trzeciej części

tej publikacji – kolejnym tytułem mistrza Polski dla Górnika. Bez żadnych skrupułów wykolegowano wtedy Legię Warszawa. Ale bywało też, podobnie jak nieco wcześniej we Wrocławiu, że przeciwko własnemu klubowi występowali... zawodnicy. W połowie lat osiemdziesiątych, tak pod wodzą Jerzego Kopy, jak i Jerzego Engela możliwości najemnych legionistów sięgały znacznie wyżej niż dwa kolejne wicemistrzostwa Polski. Trzeba było jednak trochę o to powalczyć. Tymczasem, zwłaszcza w roku 1986 w meczu z Górnikiem Zabrze decydującym o tytule, co najmniej połowa piłkarzy z Warszawy przeszła obok gry. Górnik gładko wygrał 3:0. W prasie nie tylko sportowej (nawet w „Polityce”) dość jednoznacznie sugerowano, że część zawodników Legii sprzedała ten mecz. Którzy? Każdy kibic wojskowych kreślił tu własny scenariusz wydarzeń. A jak zareagował trener Jerzy Engel? Odgrażał się publicznie, że wróci do tej przykrej sprawy. Nie wrócił. A dlaczego nie zareagował natychmiast?

Rychło zorientowałem się, co się święci, ale przecież nie mogłem zmienić połowy drużyny. Przepisy nie pozwalały. Nawet ewentualny walkower nie zmieniłby wyniku...

Był to wyjątkowo zły czas dla naszej ligi. Praktycznie każdy sezon daleki od normalności. Fingowanie wyników stało się niejako chlebem powszednim. W Katowicach na przykład w roku 1987, zapewne nie za przysłowiową „czapkę gruszek”, usiłowano bronić przed degradacją kolegów z Lublina. Ale i tak Motor zgasł. Dziurowicz – junior wtedy miał jeszcze mleko po nosie, więc nie był w kursie sprawy. Zresztą w piłkarskiej rodzinie obowiązywała wówczas zmo-
wa milczenia, cicho sza, gramy dołem, nikt nic nie wie. PZPN długo nie reago-
wał na te pogaduszki i jawne gwałcenie ligi. No to problem narastał. Krymino-
genne stały się zwłaszcza, sądzę, że rozsądny człowiek tego nie wymyślił, me-
cze barażowe oraz premie za zwycięstwa różnicą trzech bramek i kara za prze-
grane w takim samym wymiarze. To dopiero była laba dla hochsztaplerów. Za

ewidentne matactwa nikomu jednak krzywdą się nie stała. Raz tylko pogroźono palcem Lechowi Poznań za układziki z Polonią Bytom, a jedno ze spotkań Górnika Wałbrzych z Motorem Lublin powtórzono. Czystej gry nie było również w meczach Lechii Gdańsk i Olimpii Poznań, ale tu Temida za miecz nie chwyciła.

Zastanawiano się tylko, kto grał w tych machlojkach pierwsze skrzypce – działacze, piłkarze czy sędziowie? Moim zdaniem nikt nie miał tu „czystych rąk”, ale już niejako „z urzędu” najwięcej gromów spadło na arbitrow. To dobrze zorganizowana grupa. Na łamach „Piłki Nożnej” początkowo udając Greka, ostrożnie pytałem „**Kto jest ojcem chrzestnym**”? a nieco później jednoznacznie wyłożyłem kawę na ławę. To praktyki jakby żywcem wzięte z reguły sycylijsko-amerykańskiej mafii. „Przegląd Sportowy” również mocno uderzył pięścią w stół. Mając dość „piłkarskich cudów” w przeróżnych dniach tygodnia, najpierw zrezygnował z reklamowania na swoich łamach „ligowego kabaretu”, a potem w całości przedrukował moje uwagi o tej sędziowskiej rodzinie. I co? Skazano kogoś na ligową banicję bądź wsadzono za kratki? Nastąpiło choćby drobne opamiętanie i wytarganie kogoś za uszy? Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu... Znowu cisza, jak na pogrzebie. Targowisko przestępczości miało się dobrze. Krzywo patrzono tylko na Eugeniusza Kolarza, bo jedno ze spotkań barażowych sędziował najzupełniej normalnie. Dziwak jakiś czy co?...

Nasi dziadowie nie bez podstaw powiadali, że „daj kurze grzędę, a ona ci powie – jeszcze wyżej siędę...” Kto najczęściej i najchętniej grał w naszej lidze rolę tej przysłowiowej kury? W rozmowach ze mną niemal każdy trener ligowy, a Grzegorz Polakow i Leszek Jezierski najczęściej zapewniali, że niekwestionowanymi liderami w tych „wygórowanych ambicjach” byli klubowi działacze. Oni za wszelką cenę chcieli być na świeczniku. Nawet w obozie „Rycerzy Wiosny”

szkoleniowiec był li tylko marionetką w ich rękach. Mieli swoje wypróbowane sposoby na sukces. Pro forma głaskali po plecach:

– Dobrze pan pracował?... Są wyniki. Nie mamy zastrzeżeń.

Ale gdy trener napomknął o jakiejś za to skromnej nagrodzie nie kryli oburzenia:

– Co? Liczy pan na specjalną premię? Oj, nieco więcej skromności, kolego! Przecież co najmniej połowę punktów, które pan uzbierał z drużyną, to my kupiliśmy...

Jednak w ŁKS-ie nie tylko kupowano mecze, także sprzedawano. Tu podle zachowywali się niektórzy zawodnicy. „Napoleon” nie ukrywał przede mną, że jeden z nich sprzedał mu dwa mistrzostwa Polski. Wredna bestia. Siana w głowie nigdy w nadmiarze nie miałem, przeto po sezonie 1992/1993, kiedy w kolejną „afery korupcyjną” wmieszane były: Legia, ŁKS, Wisła i Olimpia nieco mocniej puknąłem się w łepetynę i już tak jednoznacznie nie podkpiwałem z moralisty Kuleszy. Może miał rację, kiedy krzyczał „Cała Polska to widziała!”. Wątpliwości narastały, coraz natrętniej targały mną sprzeczne uczucia. A może to ja broniłem niesłusznej sprawy? Pięć lat później ŁKS znowu naraził się znacznej części ludzi futbolu. Nawet w Łodzi bez większego entuzjazmu przyjęto kolejne mistrzostwo „Rycerzy Wiosny”. Roman Hurkowski w swojej nowatorskiej publikacji **„Z piłką do Europy”** tak to opisał:

...„W czerwcu 1998 wielka feta odbyła się na stadionie ŁKS. Wkrótce nastrój świąteczny przysł. Jeden z działaczy łódzkiego klubu ujawnił, że wiele meczów kupiono, a piłkarze przeznaczali na ten cel sporą część swoich premii. Fakty te potwierdził później na łamach prasy napastnik Tomasz Cebula. Działacze oczywiście wszystkiemu zaprzeczyli. Wszak znowu nikt nikogo nie złapał za rękę”...

Cichy handel punktami nie ustawał. W różnych okresach swej działalności PZPN rozmaitymi „zabiegami kosmetycznymi”, bez próby przykładne-

go ukarania winnych, usiłował łagodzić te przestępcze praktyki. Wciąż eksperymentowano, niestety – na żywym organizmie całej ligi, niewątpliwie nośnej społecznie instytucji, zamiast posyłać za kratki inspiatorów tych niecznych czynów, a kluby wyrzucać z rozgrywek. W ekstraklasie nadal rządziła – to dziś takie modne – „grupa trzymająca władzę”. Niedawna skromna „spółdzielnia” zamieniła się w duży nowoczesny „kantor ligowych usług”, ale efekt końcowy jest taki sam.

Na początku XXI wieku liga coraz wyraźniej zaczęła padać pod ciosami klubowych spryciarzy, usłużnych aplegiereków oraz różnej maści doradców i menedżerów. Kantory „wymiany punktów”, zapewne nie z miłosierdzia i samarytańskiego usposobienia, ale z chęci zysku, jeszcze szerzej pootwierano i sprzedawano „trefny towar” każdemu będącemu w potrzebie. Wreszcie i PZPN nieco przejrzał na oczy. Rozbił pierwszą ligę na dwie grupy po 8 drużyn. Środek typowo zastępczy. Co to miało dać? Tak to widział wiceprezes Związku, Henryk APOSTEL.

... Pozytywów jest sporo. Przede wszystkim od pierwszych spotkań rozpoczyna się ostra walka... Rywalizacja o miejsce w pierwszej ósemce będzie zbliżona do rangi spotkań o najwyższe trofeum czyli mistrzostwo Polski... Nie będzie więc na przykład ani „wolnego środka” tabeli, ani „bezpiecznej strefy”... W drugiej rundzie spotkają się ze sobą zespoły już naprawdę dobre i przynajmniej teoretycznie równe sobie. Zniknie syndrom „zmniejszonej motywacji”...

A tak „sezon regulaminowych nowości” ocenił prezes PZPN, Michał LISTKIEWICZ:

... „Niewątpliwym wydarzeniem w polskiej piłce jest zmiana systemu rozgrywek w I lidze. Zdecydowaliśmy się na reformę, bo faktycznie nie można nadal tolerować wielu niekorzystnych zjawisk towarzyszących ligowym zmaganiom,

zwłaszcza na ich finiszu. Radykalnych decyzji domagały się i kluby, i działacze i opinia społeczna. Był także ważki aspekt szkoleniowy: rywalizacja musi zmobilizować piłkarzy i trenerów do bardziej wytężonej pracy, w efekcie do wzrostu poziomu... Otrzymałem osobiście sporo listów i telefonów, aprobujących naszą decyzję. Ci, którzy wyrażają odmienną opinię – spodziewam się, że niebawem zmienią zdanie”.

Tę wypowiedź prezesa, ludzie mający wątpliwości czyli inteligentni mogli by uznać za „przebój sezonu”. Mniej rozgarnięci mieli prawo zapytać, czy w tej „nowej aranżacji” nasza liga rzeczywiście będzie grać lepiej, a jej aktorzy w tej orkiestrze mniej fałszować. Mnie osobiście najbardziej rozbawiły dwa sformułowania „Misia”: pierwsze – „radykalnych decyzji domagały się i kluby i działacze”, drugie – „ci, którzy wyrażają odmienną opinię – niebawem zmienią zdanie”. O prezesowska naiwności!!! Rozumiem jednak dotychczasowy ból sternika PZPN i niemal ślepa wiarę w siłę futbolu. Tu się zgadzamy, nawet gdyby klubami kierowali sami przestępcy, to i tak piłka nożna da sobie radę. Przeżyła u nas ponad sto lat, dwie wojny światowe i kilka okupacji, mimo to jest, jak mawia Rysio Niemiec, naszą „miłością pierwszą”. Jej przyszłość wymaga jednak bardziej „radykalnych decyzji”, a nie kolejnego makijażu.

Na czym więc polega nieszczęście naszej ligi? Pisałem w czerwcu 2001 roku:

...„Czas często płata różne figle. Teraz, w układzie 16 zespołów w dwóch grupach po 8 drużyn, być może trudniej będzie o machlojki. Są to oczywiście li tylko przypuszczenia, nie poparte żadnymi faktami z przeszłości, jedynie podbudowane wiarą, że również w naszej lidze możliwa jest szlachetna walka, nie skażona elementami pozasportowymi. Twórcy nowożytnego piłkarstwa tak jak i my dziś, naiwnie sądzili, że „futbol jest krykiet”, to znaczy więcej niż „w porządku”, nie przekupny, a ludzie nim kierujący przestrzegają zasad fair play. Marzenia fantastów XIX wielu nie oparły się jednak ofensywie następn-

go stulecia. Jako jedni z pierwszych sprzeniewierzyli się tym ideałom piłkarze, z czasem i krykieiści ubabrali się w korupcji. Nasza liga, odległa od poziomu czysto sportowego wielu nacji europejskich, akurat w tej materii nie odstaje od najgorszych wzorców. Wszyscy byliśmy w błędzie, sądząc, że na krajowych boiskach w sezonie 2000/2001 przekroczone już wszystkie granice przyzwoitości”. Niestety, wrota dla przestępców nadal były szeroko otwarte, bo winnych nie ukarano.

Liga jest chlebem powszednim naszego piłkarstwa. Powinna smakować jak pajda razowego chleba. Tymczasem, zaraz po prezesowskich obietnicach, że po reformie rozgrywek nawet jej najzagorzalsi przeciwny rychło zmienią zdanie, przytrafił się kolejny zakalec. Konsumowaliśmy wypiek, po którym normalny entuzjasta futbolu, nie mający nic wspólnego z korupcją, dostawał mdłości. Łatwo gołym okiem dostrzegalna „zapaść moralna” wyraźnie się pogłębiła. Do ligowej elity, niewątpliwie „tylnymi drzwiami” wdarła się Szczakowianka-Garbarnia Jaworzno. Wraz z jej awansem rozmyły się wszelkie nadzieje na normalność w ekstraklasie. Spór Szczakowianki w marzącym o ekstraklasie Świtem Nowy Dwór Mazowiecki urósł do rangi skandalu i stał się kolejną pożywką dla medialnych sensatów. Wreszcie złapią kogoś za rękę i wkrótce powieszą?

Głównym winowajcą była Szczakowianka. W grach barażowych przekupiła sześciu zawodników Świtu. Efekt sportowy jednoznaczny – Jaworzno poza I ligą, Świt w ekstraklasie. Strona moralna tej korupcji tak oczywista już nie była. Klub z Jaworzna z oskarżonego przeobraził się w oskarżyciela. Usiłował zrzucić winę na „paskudnego rywala” i wścibski PZPN, bo śmiał tę sprawę wyciągnąć na światło dzienne. W rezultacie naraził Szczakowiankę na mocną skazę na honorze i wielomilionowe straty w żywej gotówce. Prym w prezentowaniu takiej „wykładni prawnej” wiodła pani mecenas Jadwiga Tomaszewska.